

# NA WULKANIE

**Powieść ARTURA GRUSZECKIEGO**  
na tle ostatnich rozgłosnych wypadków  
w Królestwie Polskiem.

6

Ciąg dalszy.

— Ależ Wandziu — uśmiechał się z przymusem — łudzisz się... przyjechałem w interesie sumy hipotecznej.

— Czy pan również? — zapytała swymi pięknymi, ciemnymi oczyma.

— To tajemnica brata pańskiego — odpowiedział lekko zmieszany.

— Zresztą powiem ci później — rzekł brat łagodnie, — na razie nie mogę.

— A moją pomoc odrzucasz? — spytała tonem żalu.

— Może i skorzystam — i nagle do stangreta zawołał: — stój! Wsiądźmy Kola... a ty Wandzia, gdzie będziesz?

— W naszym zwykłym zajezdzie... wezmę numer dla ciebie.

— Dla mnie?

— Na sprawunki i na to — wskazała oczyma na paczkę w pleidle.

— Prawda... weź numer.

Gdy powóz zniknął na zakręcie ulicy, Władysław przyspieszył kroku i wskazując na dom mniowany, zasłonięty od ulicy kilkoma drzewami, szepnął:

— Tam kasa.

Bardzo starannie przypatrywali się budynkowi, zwolniwszy kroku. Od strony ulicy dom miał sześć okien okratowanych i drzwi wejściowe wraz ze sienią, dzielącą dom na dwie części. Z prawej strony była kancelarya i kasa powiatowa, z lewej biura naczelnika powiatu.

— Wejźmy — szepnął Bal.

Przez furtkę sztachetową dostali się przed dom. Szyldwach, który przechadzał się od drzwi wejściowych po pod okna kasy, spojrzął na nich obojętnym, znudzonym okiem, nie przerywając machinalnych kroków.

Drzwi pierwsze były okute, a otwory w od drzwiach świadczyły, że opatrywano je sztabami. Również drzwi wejściowe od sieni do kasy były okute blachą i opatrzone wielkim zamkiem.

Bal wszedł do biura, w którym mimo otwartych okien czuć było słodkawo-kwaśny zapach bntwiejących papierów i zepsanego dymu tytoniowego.

Przy dwóch, oddzielnych stołach pod dwoma oknami, siedziało dwóch znudzonych urzędników. Jeden z nich, niski szatyn z krótką brodą, spojrzął na przybyłych małemi, wśdrującymi oczkami i na powitanie mruknął coś niewyraźnie.

— Chciałbym się dowiedzieć, czy podatki Landwerowa są już zapłacone? — spytał Bal grzecznie.

— *Eto nie moje dzieło* — odpowiedziano mu szorstko i dopiero na prośbę objaśniono Bala, gdzie należy iść po informację.

Bal spostrzegł, że drzwi z pokoju do kasy właściwej są również okute blachą, pragnąc więc rozejrzeć się w kasie, poprosił urzędnika o rozmianę stu rubli, częstując go papierosem, na co otrzy-

mał odpowiedź, aby sam spytał kasyera. Tego pragnął, zostawiwszy więc Kola przy urzędniku, sam poszedł do kasy. Zastał tam szczupłego, mocno szpakowatego urzędnika, który na szelest kroków zwrócił ku drzwiom swą poźółkłą twarz i gładząc cienkimi palcami długie faworyty, patrzył na wchodzącego tępy, złośliwym wzrokiem.

Gdy położył od Bala prośbę o rozmienienie stu rubli, odrzekł drwiąco, że tu nie jest kantor wymiany i dopiero na powtórna prośbę, mrużąc coś gniewnie podszedł do kasy wertheimowskiej, obmurowanej i sprawdzwszy banknot wyliczył złote monety.

Gdy wyszli na ulicę rzekł Bal z odcieniem zniechęcenia.

— Trudniej będzie, aniżeli przypuszczałem... ten szyldwach, mocne drzwi, wewnętrzne okiennice, kraty, kasa wmurowana...

— Zbadajmy sąsiedztwo — zachęcał Kola.

Zajrzeli na tyły domu i spostrzegli budkę strażniczą przy rogu domu. Zatem w nocy pilnuje budynku dwóch żołnierzy.

Po drugiej stronie ulicy naprzeciw kasy wznosiły się domy mieszkalne, tylko bliżej rynku był szynk, przed którym na razie stały wozy chłopskie.

Właściwy targ na rynku, okolonym brnkowanym chodnikiem, sklepami i kramikami, już o tej porze skończył się. Stały tylko wozy, zaprzężone w znudzone konie, ze zwieszonymi łbami. Na wozach siedziały dzieci, czasem baby, wyglądające ojców i mężów. Szynki roili się od gości, a sklep monopolowy był w obleżeniu. W najładniejszej kamienicy, którą szczycił się rynek, mieszkał naczelnik powiatu, który z cygarem w ustach stał w tej chwili na balkonie, patrząc z łaskawym uśmiechem po dobrym obiedzie na podwładny mu ludek zabawiający się na rynku.

— Kola, widzisz tego satrapę? — wskazał na naczelnika w mundurze.

— Ileż błogości w tej ospalej, sfałdowanej twarzy, pyszny okaz — śmiał się wesoło — i wyobraź sobie, jaką będzie miał minę, gdy uda się na szą wyprawę.

Bal spojrzął bacznie na Kola, usłyszawszy „naszą wyprawę“, uśmiechnął się i na razie nie podnosił tej zmiany w zapatrywaniu kolegi.

— Pójdzie w senatory — kończył ze śmiechem.

Widok dwóch panów, ubranych elegancko, którzy idąc koło balkonu nie złożyli pokłonu, zaniepokoił naczelnika i zaciekał. Pierwszą jego myślą było wysłać strażnika, aby wybałał przybyłych, ale trawienie smacznego obiadu było tak przyjemne, cygaro tak suche i dobre, że machnął ręką z pomrukiem: „czort z nimi“.

Innego jednak zdania była jego córka, panna na wydaniu, nudząca się w miasteczku. Stała właśnie przy oknie, a widząc śmiejących się Władysława i Kola, jak jej się zdawało drwiących z niej, zmarszczyła wąskie czoło i zawołała do naczelnika:

— *Papasza!* Dlaczego ci dwaj nie pozdrowili ciebie?

— Ot, przejezdni... nie wiedzą...

— Ależ oni naśmiewali się z ciebie z lekceważeniem — upomniała ojca karcącym tonem.

— Czyż tak? — nachmurzył się.

— Ja na twym miejscu aresztowałabym ich... to pewno rewolucyoniści.

— Hm... i to możliwe, ta swulocz włóczy się teraz... no, nie w moim powiecie sztuka — a spostrzegłszy przechodzącego strażnika, krzyknął:

— Wańka! Sam tn!

Pod zawołaniem zatrząsły się nogi i tak się splątały z gorliwego pośpiechu, iż omal nie upadł. Trwało to kilka sekund i szybko pobiegł na górę. W pokoju stanął wyprostowany naczelnik:

— Widziałeś dwóch obcych panów?

— *Nie kak niet.*

— Ach, ty sukinsyn, od czego ty strażnikiem, czy nie zaszkzyłeś na wypędzenie?

— *Tak toczno, wasze wysokorodie.*

— Obydwa młodzi, porządnie ubrani... hej! Nadia! — zawołał na córkę, — a gdzie oni poszli?

Podeszła do ojca Nadia, niska, tęga i patrząc surowo na strażnika swymi błado niebieskimi, wodnistymi oczyma, mówiła tonem rozkazu:

— Pójdiesz do sklepu żelaznego Bergsona, tam wstępował, dowiesz się, kto oni. Gdyby nie wiedziano, idź ulicą Petersburską w kierunku Moskowskiej Płoszczadi i rozpytaj się.

Ojciec z niekłamanym podziwieniem zawołał uradowany:

— Tobie Nadia być naczelnikiem wydziału żandarmskiego, ot masz ty główkę!

Nadia obojętnie wysłuchała pochwały i rzekła tonem urzędowym:

— Czy *papasza* każe ich tu sprowadzić?

— Ot, byłbym i zapominał... Tak, słuchaj Wańka... zapytasz ich o paszporty, niema u nich, tak do aresztu z nimi, a mają paszporty, tak ich puść.

— Paścić! — uśmiechnęła się ironicznie — zastanów się *papasza*, czy taki Wańka — spojrzęła pogardliwie na wyprężonego strażnika — pozna paszport fałszywy i zgodność opisu z sobą?

— Na, twoja racja, twój rozum... Zrozumiałeś, durniu, paszporty zabierz i przynieś tutaj.

— *Fanul, wasze wysokorodie.*

— *Nu, tak stupaj!*

Istotnie Bal i Kola zaszli do sklepu z żelazem, aby ocenić jego zamożność w razie zapotrzebowania jakich narzędzi i szli do zajazdu przy ulicy Łomżyńskiej, przechrzczonej w urzędowym języku na Petersburską.

— Wiesz Kola, trzeba by jednak zająć do adwokata i rozpytać się ogólnie o Landwerowo.

— Po co te komedye? — rzekł z niesmakiem.

— Za małe miasteczko, aby nas nie zauważono... mogą śledzić, dopytywać się, i... ostrożność nie zawadzi.

— Ależ ja nie mam pojęcia o Landwerowie.

— I ja nie wiele wiem. To jedno, że właściciel na prawo i lewo zaciąga długi, mógł więc u którego z naszych znajomych zaciągnąć pożyczkę.